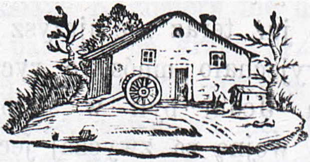
Nr. 17. 18. 20. Czerwca 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak Warszawa powstała.

Był pewien książę Mazowiecki i miał się nazywać Kazimierz. Niektórzy nawet powiadają, że on był królewiczem Polskim. Ten tedy książę, czy tam królewicz, a zawsze Kazimierz z imienia, lubił łowy i polowanie. Zwyczajnie to z dawna dawności już taka rozrywka pańska. Bo kiedy w czas spokojny nie ma wojny i nie można bić nieprzyjaciela, to trzeba się czem trudnić, co jakby wojną było. Zamiast jako rycerz z rycerzem, spotkało się z dzikim zwierzem, a zamiast gonić Turka lub Tatara, goniło się tury, jelenie i łosie. Teraz ma się rozumieć, kiedy już takiej zwierzyny tak dobrze jak niema, radzi są panowie, kiedy się na koniu z harapem za nieborakiem-szarakiem puścić mogą z kopyta. A kiedy im się lisek zdarzy, to już jakby ich kto na sto koni wsadził, choćby go też i pieszo gonili.

Ale książę Kazimierz byłby się za tak marną zwierzyną i krokiem z miejsca nie ruszył. Po owe czasy było to coś dla psów, ale nie dla szlachetnych rycerzy. Jeżeli nie mogli uderzyć na wielkiego zwierza, co był większy i silniejszy, niż oni, to małemu dali święty pokój. Wszakże i teraz dobry strzelec do wróblików nie wypali, ale swoje naboje na stada cyranek i żurawi zostawi.

I wyjechał książę Kazimierz na wielkie źwierzę do borów, jakich pono już teraz nie ujrzysz tak gęstych i starych. A z nim wyjechało mnóstwo rycerstwa i dworzan i sług przeróżnych. Jedni byli w stalowych pancerzach, jakto rycerstwo na wojnę za zwyczaj jechało; drudzy byli tylko w kurtkach z grubej jak podeszwa skury, a najodważniejsi mieli na sobie leciutkie ubranie z aksamitów i materyi kosztownych. Żadnemu zaś nie brakowało strusiego pióra nad czołem, ni trąbki lub rogu przy boku. Jak się bowiem wesoło na łowy jechało, tak też wesoło i pióra powiewać miały. — A trąbka to i do tego była potrzebna, aby dać znak, gdyby się gdzie w głuchym boru zbłąkano. Wszakże po owe czasy jeszcze prochu i strzelby pukającej nikt nie znał, i tylko łuki z wiśniego dębczaka albo ze sprężystej stali służyły do strzelania. Lecz ani książę Kazimierz, ani jego towarzysze z łukiem nie wyjechali, ale tylko z długim, jak włócznia, oszczepem albo też nawet z kordem tylko dość krótkim.

I wjechali nasi łowcy w dzikie knieje. Lecz nie było to na tej stronie Wisły, gdzie teraz Warszawa, ale na tej, gdzie teraz Praga. Tam ci i dzisiaj jeszcze pod Ostrołęką takie bory, jakich może drugich w całej Polsce nie znajdziesz.

I rozdzieliło się szlachetne i świetne rycerstwo na kilka gromad, i jedni się udali w tę, drudzy w ową, a inni w inną stronę. Książę zaś Kazimierz udał się manowcami, gdzie się największego zwierza spodziewał. I jedzie i jedzie, a z nim gromadka najwierniejszych i najmilejszych dworaków, ale źwierza co nie widać, to nie widać.

Wreszcie trzeszczą gałęzie i słychać szum w gęstwinie, jakby się co przez drzewa przedzierało. I nic nie mówiąc, da książę Kazimierz znak ręką, i rozstrzelą się rycerze na obie strony, aby zwierza swemu panu pod oszczep napędzić. I w samej rzeczy wystraszyli ogromnego jelenia. Co gdy go książę Kazimierz spostrzegł, to aż mu się oczy zaiskrzyły z radości. I dalejże teraz za nim, co tylko włosy koło uszu gwizdały. Ale choć konik gładki jest chwatki, to jeleń równie szybki.

I byłby go książę Kazimierz nie dognał żadną miarą. Aż tu się dwie parowy na krzyż przerzynają, a wielka zaspa śniegu w tej poprzecznej parowie. I utyka jeleń, że mu ledwie rogi widać, i porywa się, i znowu utyka głęboko. W tem dojeżdża go książę Kazimierz i wepchnął mu oszczep między same łopatki. Potem zatrąbił na trąbce, i przyskoczyli rycerze i słudzy i zabrali jelenia i nieśli na oszczepach, jak na marach, ze sobą.

A książę Kazimierz, szczęściem zachęcony, dalej się puścił. I nie jechał daleko, aliści mu się straszliwy niedźwiedź nawinął.

„Hola, bratku“ pomyślał sobie książę Kazimierz. „Jeżeli nie na więcej, to przynajmniej na skórę pod nogi posłużysz.“

I ledwie to pomyślał, wymierzył do niego oszczepem i ubił go na miejscu, jak się właśnie na niego na tylne łapy wspinał.

Potem zdarzył mu się dzik a stary. Tenby go był powalił i z koniem zarazem. Ale książę Kazimierz zeskoczył na ziemię i nadstawił mu tak oszczepu, ze dzik zaślepiony sam się nadział na oszczep. I wykrzyknął książe: „Widzisz, dziku, żem przecie mocniejszy! Jeżeli nie na więcej, to przynajmniej na oprawę do ksiąg prawnych posłużysz!“

A co ubił, to zaraz dworzanie i słudzy na swoje oszczepy lub na drągi z drzew ściętych zabrali.

A że książę co ducha, dalej się puszczał a przy każdym źwierzu po kilku towarzyszów zostawiał, więc pędził w ostatku sam jeden.

Aż tu nagle najeżdża na żubra. Ten mu zaś narobił nie mało kłopotu, a nawet mu się stawił rogami i uderzył na niego obcesem. Przecie i tego pokonać się księciu udało. Bo jak mu wparł oszczep między same rogi, to aż mu ostrze karkiem wyglądało.

I obejrzy się książę, czy służby nie ma, coby żubra zabrała; ależ tu żywej duszy nie widzi! I wypadało mu wrócić do swoich; lecz cóż? Ochota go wzięła, aby jeszcze

choć jedną sztukę powalić. Więc mało myślący, puścił się w głąb boru.

I pędzi i pędzi i ogląda się za zwierzem, i pędzi i pędzi i słucha; ale teraz to całkiem na próżno. A że się wreszcie już zmierzchać zaczyna, staje na miejscu i nazad się puszcza.

I dziwno mu, że nigdzie nie spotyka rycerzy ni żadnego ze służby. Lecz już to nie od chwili pruszy. Więc łatwo im było ślad zgubić. A teraz jeszcze wicher powstaje i rwie ze ziemi i sypie w oczy, gdzie się tylko przez drzewa przedrzeć może.

Nie miło to księciu Kazimierzowi. I zatrąbi na trąbce, i znowu zatrąbi, i jeszcze zatrąbi; ale nikt się nie odzywa a tem mniej jeszcze przybywa! Dla tego zrobiło się księciu jakoś ckliwie-lękliwie na sercu. Lecz pociesza się, że przecie w końcu kogoś spotka i że z boru, z boru-lasu wyjedzie.

Ale choć znowu trąbi i trąbi, że aż się trąbka roz grzała, i choć jedzie i jedzie, że aż z konika pot kipi, to nikogo w koło. Śnieg zaś pada i pada, i kurzy się z nieba i ziemi, i noc ciemna zapadła. Koń bucha po kałdun, a przecież tak w boru zanocować nie można! Książę tylko w kurtce aksamitnej, a choć sobolami podszyta, to przecie nie tak w niej, jak w szubach dostatnich. Przytem wilków nie mało tam w knieji!

Wreszcie się las nieco wyjaśnia, i patrzy książę: jakieś światełko tam w dali! „Boguż dzięki!“ zawołał. „To przecię teraz nadzieja!“ I folguje konikowi i wolniej jedzie na owo światełko.

Lecz nowy tu smutek, bo oto koń stanął, jak wryty. I dopiero poznał książę Kazimierz, że się nad jakąś wodą znajduje. A że szumi, musi to być rzeka. A że szeroka i nie zamarzła, musi to być Wisła!

Były nie małe mrozy a i Wisła już stanęła, lecz i w najtęższą zimę są niektóre miejsca na Wiśle, co nie zamarzają. Więc cóż tu robić i cóż tu począć? Oto udać się w prawą lub lewą, to przecie będzie gdzie przejechać

można! I tak też zrobił nasz książę i co prawda, choć szum był z tej i tej strony jednaki, skręcił konikiem w prawą, bo ją miał za szczęśliwszą, i niezadługo jechał jak po stole, bo wiatr zmiótł śnieg z lodu jak miotłą, a slizko wcale nie było, bo chropowato umarzło.

I podjechał książę pod górę i blizki już onego światełka. I patrzy: chata dosyć porządna, a kilka wioseł o dach opartych.

„Ha, to tu rybak znać mieszka!“ pomyślał sobie książę. „Jakoś bardzo wysoko! Więc pewno to lichy sprawca na ryby, kiedy tak daleko od wody! Lecz może też za to cieplej będzie u niego, niż u tych innych bywa. Bo wszakże u rybaków to za zwyczaj, jak w lodowni jakiej. O gdybym był raczej gdzie do borowego zabłądził! Przecie i w najgorszym razie będzie tam milej, niż w zawieruchę na polu!“

I zagląda książę oknem, ale nic nie widzi jak tylko, że alkierz otwarty i że skorupka na stole w nogach przy łóżku się pali. I kołace książe w okno, i pyta się z łóżka głos kobiecy na poły z jękiem: „A kto tam?“ Ale książe nie daje się poznać i odpowiada: „Otwórzcie tylko, kobietko, otwórzcie! Jestem podróżny a zeziąbłem, że aż zębami szczękocę, i jestem tak głodny, żebym kamienie połykał.“

Na to odezwał się z łóżka ów głos kobiecy: „Wejdźcie tylko, przyjacielu, bo sień nie zaparta! Ale jakżeż się zdziwiła, kiedy zamiast prostego podróżnego jakiegoś pana w kurtce aksamitnej i w czapce z piórem ujrzała! I byłaby się może ze strachu na głowę pierzyną przykryła, ależ tu wszedł jej mąż z nadworza.

Ukłoniwszy się, zawołał on śmiało i przywesoło: „Gość w progi to skarb drogi! Witajcież zatem, Wielmożny Panie! Nadzwyczajne szczęścia dzisiaj Bóg na mnie zlewa! Otóż jeszcze przed świtem żona mi moja kochana pareczkę: syna i córeczkę powiła; a teraz powracam ze szopki, gdziem się właśnie od mojej granoszki byśka i jałoszki jednej godziny doczekał! Jeszcze podobało się Panu Bogu, żebyście Wy się, Wielmożny Panie, do nas zabłąkali! O

jakaż radość, o jakaż szczęsna dola dla mnie ubogiego człeka!“

A że właśnie matka jego weszła, kazał jej co tchu rozniecić ogień. Sam zaś zaczął księcia otrząsać ze śniegu, otarł mu rękawem obmarzłe buty, i nalawszy mleka i miodu w naczynie, kazał je grzać jak najprędzej. Potem wystawił jeszcze na misce solone już ryby i rzekł: Już wam pomagam, jak mogę, moja Matko kochana! Ale przyrządźcież też wszystko, jak tylko najlepiej! Rybki toby pono smażone najsmaczniejsze były! Ja tymczasem wprowadzę konika Wielmożnego Pana do szopy. Bo jak go pogłaskałem, to mokry, jak myszka zmęczona, a pewnie i zębami dzwoni za obrokiem!“

Lecz kiedy i księcia ze śniegu otrząsał i kiedy mleko nalewał, to ciągle coś prawił. A nie raz to obrócił tak mowę, że chciał się dowiedzieć, ktoby to był ów pan tak bogato ubrany. Ale książę nie dał się poznać. A kiedy rybak znów wrócił do izby, odważył się wręcz zapytać, mówiąc: „Przepraszam Wielmożnego Pana, ale jabym też z duszy rad wiedział, kogo mój domek ubogi jako gościa przyjmuje! Nie jest-że może Wielmożny pan jakim Wielmożnym Panem od książęcego boku?“

„No i cóż?“ rzekł na to książę łaskawie.

„Ach w takim razie,“ ciągnął rybak dalej w swej mowie „w takim razie tobym upraszał Wielmożnego Pana, aby się też Wielmożny Pan do naszego Jaśnie księcia za mną raczył przyczynić. Otóż śniło mi się raz, że byłem w Płocku czy Czersku u księcia na zamku. Po co i na co, to mi się wcale skleić nie chce w głowie. Było to tak jakoś, jakbym tam z deszczem spadł z nieba albo też wyrósł jak grzybek ze ziemi. Dosyć na tem, że mię Jaśnie książę] dobrotliwie-miłościwie przyjmuje, a potem mi sporą miarę buraków dać każe. Ale zamiast buraków nasypano mi pełną czapkę czerwonych złotych. Potem kazał książę coś przynieść na oślej skurze, a musiało to być nic lichego, bo tak się śmiałem z radości, że ażem się sam obudził.

Pewnego razu łowię w nocy na ryby. I czekam i cze-

kam, ażeby mi co w nie wlazło, zdrzymnąłem się przytwardo. W tem śni mi się, że jadę z żagielkiem, że potem na czółnie na tę górę wjechałem i że sie na tej wyżawie chałupka ze żagielka zrobiła. A potem plusnęło — niby to ryba wielka. I widzę we śnie, że jakaś panna wypłynęła. Myślałem z początku, że to syrena, gdyż to do prawdy pół ryby i pół panny było. Ale kiedy się lepiej wpatrzyłem, poznaję, że to moja najmilejsza, którą po raz pierwszy w świecie pokochałem.

„Raz w Zielone-świątki, po południu, wystroiłem najzgrabniejsze czółenko, zieloniutkim majem, i wprawiłem maszcik i zaciągnąłem żagielek, i z lubą moją zacząłem się wozić po Wiśle. Aż tu niespodzianie zaszumiało, i szarpnął wicher żagielkiem i przewróciło się czółenko, żeśmy i ja i moja jedyna w straszny odmęt wpadli. Schwyciłem ją w poły, ale mi ją woda zręki wykulnęła; schwyciłem ją za sukienkę, ale sukienka była tak cienka, że szmatka mi tylko w prawicy została. Utonęła, poszła z wodą, i aż jej przez trzy dni tu wszyscy szukali!

Ale we śnie ukazała mi się, wróżyła, że jeżeli się przeniosę z dołu z nad Wisły, na tę tu górę, to mię na tej górze, spotka szczęście wysokie.

Tutaj klasnąło, jakby mi serdeczny pocałunek dała. A nie było to tylko snem próżnym, bo gdybym się był od owego pocałunku nie przebudził, toby mię ogromny jesiotr i z czółnem mojem razem pod wodę był wciągnął.

W kilka dni potem pokazała mi się znów we śnie i wyprowadziła mię jakoś jakby z mojej chatki, i pokazała jedną ręką na chatkę, jakby się spalić miała, a potem na wisłę, jakby woda straszliwie rosła, i kazała mi się niby na tę górę schronić. Ja się też miałem na ostrożności; ale na górę się wynieść, to dla rybaka ciężej, niż się samochcąc utopić. W tem niewiedzieć, zkąd, powstał ogień w chatce i tylko popioły zostały. Szczęściem, że wszystką chudobę w pogotowiu miałem i wynieść ją zdążyłem.

Od tego czasu to już ślepo wierzę we wszystkie sny i przestrogi, które od mojej pierwszej najmilejszej pochodzą.

Wybudowałem też sobie nową chałupkę, na tych tu górach.

„Z początku naśmiewali się ze mnie drudzy rybacy i mówili, że zamiast ryb to szyszki w krzewinie będę łowił; ale kiedy Wisła straszliwie wezbrała i tam na dole wielkiej szkody narobiła, to się pokazało, że mię moja najmilejsza znowu dobrze przestrzegła.

„Stał mój nowy domek gdyby pieścidełko, i na niczem mi nie zbywało.

I wpraszali mi się sami rodzice z córkami swemi, abym ich zięciem został; ale ja już żadnej nie chciałem. Lecz kiedy mi znowu moja najmilejsza we śnie] inną za siebie stręczyła, to się ani chwili nie namyślałem.

I wziąłem też dziewczę prawie tylko w jednej sukience. Była ona sierotą, bo matka już dawno umarła, a ojciec utonął; i powodzi mi się z nią tak dobrze, że już mi tylko nieba pono trzeba.

Dziwno mi tylko, że się ów większy posag nie spełnia. A zdałby mi się teraz na te moje niebożątka-bliźniątka! Lecz dopraszam się tu niziutko Pana, aby się też Pan za mną do księcia przyczynił. Możeby mi się też i ten większy posag i owe krązki z buraków wyśniły!

Tak prawił rybak i prawił, a książę mu nie przerywał, bo tak cudnych rzeczy już od maleństwa nie słyszał. Stara matka szepnęła właśnie rybakowi do ucha, że już posiłek gotowy. Dla tego to też rybak nie czekał i odpowiedzi od swego gościa, lecz go czemprędzej poprosił do stołu.

Gość też dalejże siadać, dalej duchem zajadać, jakby się jak najciężej spracował i jeszcze ze trzy dni wypościł. A kiedy się już do woli nasycił, tak rzekł do rybaka: „Oj będę ja pamiętał, jakeś to mnie uraczył, mój poczciwy rybaku! A tem smaczniej mi smakowało, gdyż widzę, że to ze szczerego serca pochodzi! Widzi Bóg, że ani grosza nie mam przy duszy ze sobą! Ale jeźli chcesz, to ci do tych bliźniąt będę stał w komotry. Może się też później i wią-

zarek znajdzie. A przynajmniej rzecz pewna, że sny twoje księciu opowiem.“

Książę Kazimierz chciał spocząć, stara matka powlekła też zręcznie pościel świeżą bielizną i posłała łóżko miękuchno.

Wieszcie obudził się książę, a kiedy wstał, czekało już na niego sute śniadanie. A kiedy się gość posilił, przypomniał rybakowi, że czas się wystarać o komoszkę, bo on dziś jeszcze przed księciem stanąć musi. Dopiero to tu rybak w kłopocie.

Byłby sobie nie mało nasuszył głowy, aż tu się książe odzywa: Zapewno nie wiesz, kogoby dla mnie na komoszkę wybrać. Oto idź do jakiej rybaczki tam na dół, a skoro z poczciwych najpoczciwsza, to mi najmilsza będzie.

Rybak zaprosił w komotry najpoczciwszą rybaczkę z dołu, matkę jego najmilejszej, najpoczciwszą ze wszystkich.

Tej zaś pierwszej najmilejszej było na imię Sawa.

Syn zaś nowonarodzony miał dostać imię Wawr czyli Wawrzyn, a to na pamiątkę, że się rybak sam Wawrzyńcem nazywał.

I ochrzczono więc bliźnięta w poblizkim kościele i dano chłopcy na imię Wawrzyniec, a córce Sawa.

A że książę był na łowy wyjechał, więc nie miał pieniędzy przy sobie. Zdjął przeto sygnet złocisty z palca i powiedział: „Nie mam co dziś dać na podarek, bom nigdzie wstąpić nie myślał; ale weźże ten pierścień, mój kumie rybaku, i idź z nim na dwór książęcy. Tam mnie już jutro znajdziesz. Wykupi, bo on i ja to jedna dusza i jedno ciało!“

I jeszcze się chrzciny całkiem nie skończyły, a już książe Kazimierz w drogę wyruszył. Chciał-ci on jeszcze tegoż dnia stanąć u siebie na zamku.

Za trzy dni rybak przybył na zamek i kiedy go dworacy do księcia wpuścili, to jakże się zdumiał, gdy na krześle książęcem i w książęcej koronie ujrzał tego samego pana, któremu dał nocleg u siebie i który za to Wawra jego i Sawę do chrztu mu był trzymał! Książę zawołał

wesoło i dobrotliwie: „Zapewno przychodzisz z pierścieniem, abym zastaw wykupił!

Dał znak książę Kazimierz i kazał jakiemuś panu, aby przyniósł miarę buraków I nie zadługo wrócił podskarbi i nasypał rybakowi pełną czapkę czerwonych złotych.

A kiedy rybak osłupiał, nie wiedząc, czy to we śnie, jak dawniej, czy do prawdy na jawie, zawołał książę Kazimierz: „Nie dziwuj się, panie komotrze, bo i więcej się wyśni!“

Tutaj znowu dał znak i kazał innemu panu, aby coś na oślej skórze wyorał i przyniósł. I nie zadługo wrócił kanclerz nadworny i oddał rybakowi kartę pargaminową.

Książę zaś rzekł: „Jest to dokument z wiszącą w słojcu pieczęcią, żem cię zrobił szlachcicem i z twoją żoną i dziećmi i żem ci zapisał na wieczne czasy tyle roli, ile w dzień najdłuższy w parkę od twojej granoszki i w parę twoich bliźniąt na owych górach oborzesz. Bo i na cóżby ci się przydało być szlachcicem, gdybyś nie był dziedzicem.

A co ci może najmilsze, to że za znak twego szlachectwa, że za herb twój szlachecki, którym się będziesz pieczętował, pół panny i pół ryby obrałem, aby ci się twoja najmilejsza tem bardziej przypominała.

I padł rybak przed księciem na twarz, i ucałował mu nogi i jak najweselszy wrócił do domu.

A kiedy owe cielaczki wyrosły na bydlaczki, zaprzężono je do pługa, a Wawr i Sawa, trzymając się każde swojej sochy, oborali nawkoło chatki swoich rodziców taki kawał pola, że jeszcze dzisiaj Warszawa nie taka wielka.

Ponieważ to zaś stara przypowiastka, iż takiego miejsca morowe powietrze nie naruszy, które przez dwoje bliźniąt i bydląt płci różnej oborane, więc już od razu zaczęło się tam nie mało ludu sprowadzać. Każdy zaś musiał kupować rolę od rybaka Wawra, co mu nie mało pieniędzy przyniosło. Kiedy zaś wkrótce morowe powietrze panować zaczęło, to się nawet panowie na owo miejsce uciekali.

Przez to zrobiło si ę z czasem z owej jednej chałupki

rybakiej nie tylko wioska, ale i miasteczko, a z miasteczka to nawet miasto.

A że księżęta Mazowieccy i na zamku w Czersku i w mieście Płocku mieszkali, a między obydwoma Warszawa była, więc przenieśli się wreszcie do Warszawy, co więcej w środku ich ziemi leżała.

Odtąd stała się Warszawa stolicą całej ziemi Mazowieckiej, całego Mazowsza. Lecz i tu jeszcze nie koniec sławy tego miasta. Kiedy się zaś Polska coraz bardziej powiększała, a z Krakowa do niektórych granic królestwa, szczególnie do Prus i Litwy, za odległo było, została stolica Mazowiecka oraz i stolicą całej korony Polskiej.

Mrówki.

(Dokończenie.)

Jeśli kto chce widzieć regularne mrówek wojny, niechaj się uda do lasu, gdzie brunatno-czerwone mrówki swoje panowanie rozpościerają nad wszystkiemi mimo przechodzącemi owadami i z podobnemi sobie z różnych mrowisk wojny toczą, jakto w dawnych czasach sąsiednie miasta czyniły.

Nieraz z dwóch kopców, które przeszło 100 kroków oddalone od siebie leżą, posuwają się przeciw sobie wojska tak liczne, że całą drogę na pół łokcia szeroko pokrywają, i w połowie drogi z sobą walczą. Tysiące idzie w zapasy pojedynczo, i każda stara się drugą pyszczkiem zawlec w niewolę.

Właściwe pole bitwy ma półtora łokcia w kwadrat (to jest wszerz i wzdłuż), i wonieje mocno kwasem mrówczanym; w około leżą trupy pokryte tą cieczą, podczas gdy całe oddziały, lub pojedyńcze mrówki trzymają się za nogi i głowy lub tu i owdzie rozciągają się martwe. Walka rozpoczyna się zazwyczaj między dwiema mrówkami idącemi z otwartemi pyszczkami; te stawając przeciw sobie, pryskają na siebie swój kwas ostry na przemiany, potém przypadają do siebie z boku i pasują się z sobą dopóty w kurzu, dopóki trzecia

nie nadejdzie i zwycięztwa nie rozstrzygnie; czasami téż przybiega ich tam mnóstwo, i przyczepia się nogami do nieprzyjaciela tak, że często 6 do 10 trzyma się jednéj mrówki. Pod noc odciągają oba wojska zawsze do swoich siedzib, pozostawiając tylko trupy, jeńców zaś zabierając z sobą. Ale przed wschodem słońca występują na nowo i to jeszcze zawzięciej przeciwko sobie, a pole bitwy staje się do 6 stóp długie i szerokie; około południa zwyciężająca strona może już pole bitwy o 10 stóp ku nieprzyjacielskiemu kopcowi posunąć. Żądza boju tak jest gwałtowną, że choćby im kto przeszkadzał, to go nie oblezą, ani się nie cofną. Najdziwniejszém jest to, że mrówki się poznają nawzajem, i umieją przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnić; idą one wprawdzie z otwartemi pyszczkami, i napadają na siebie nieraz, ale zaraz puszczają się i głaszczą *mackami* (to jest wąsikami czułemi, służącemi im zamiast wzroku), jeżeli do jednego mrowiska należą. Podczas walki jednak wszystkie zatrudnienia w kopcu idą swoją drogą, i zawsze jedne ciągną jeńców do domu, podczas, gdy inne są w boju, a znowu inne w las idą, aby pożywienia dostarczyć. Jeżeli deszcz spadnie, to wojska powracają do siebie, a następnie unikają sąsiedztwa z drugim kopcem.

Inaczéj przedstawiają się wojny mrówek brunatno-czerwonych z jasno-czerwonemi. Te ostatnie oczekują tamtych w małych oddziałach, w pobliżu swego kopca, pomykają się potém w mocno ścieśnionych szeregach, nie rozłączając się jedna od drugiéj na chwilę, i biorą w niewolę każdego pojedynczego nieprzyjaciela, gdy się zdaleka od swoich wysunie. Ta wojna jest bardzo zabawną. Obie strony usadawiają się w zasadzkach, i starają się podejść znienacka; lecz jeżeli czerwono-brunatne idą wstępnym bojem, wtedy zagrożone małe mrówki, zaraz proszą domowych na pomoc i w okamgnieniu liczne wojsko wypada z bramy, aby pojedyncze hufce nieprzyjaciela otoczyć. Potyczki te, wznawiając się codzień trwają i cały tydzień między dwoma dość odległemi kopcami, i to najczęściej, jeżeli na jednym nasypie lub wale ziemi leżą, lub ich drogi krzyżują się z sobą.

Zdaje się, że brunatno-czerwone mrówki umieją się także bawić. Podczas dnia pogodnego zdarza się nieraz widzieć tłumy mrówek ogólnie poruszających się na kopcu, na podobieństwo wrzącéj wody; każda trzepie wąsikami z zadziwiającą szybkością, to głaszcze jedna drugą po głowie przedniemi nóżkami; to ustawiają się potém parami, pasują się z sobą, przewracają i t. p. Potém obejmują się swym widełkowatym pyszczkiem to za szyję, to z tyłu, nie pryskając jednak kwasem, i nic złego sobie nie wyrządzając; następnie puszczają się, dopadają drugie, aby się z niemi pasować i t. d. U innych nie daje się spostrzegać tych wojowniczych zabaw. Widać to wybornie na takich kopcach, które dogodne położenia mają, i znajdują się w bliskości pożywienia lub wody, i gdy są nieco nasypem ziemi od nieprzyjaznych odwiedzin zabezpieczone.

Czasami widać na kopcu mrówki, które się kręcą wkoło przez 2 lub 3 minuty, jakoby zawrót miały; potém pędzą do drugich, chwytają je za nogi lub za macki, i puszczają się, aby biedz do innych. Bawią się także z sobą jak psy, już to czając się, już wykręcając się, aby się nie dać złapać, lub téż udając, jakby się chciały kąsać, przewrócić i t. p. Nieraz też podpadają szczególnéj chorobie; nie mogą prosto chodzić, ale biegają ciągle w kółko i krążą w niem jakie 100 razy na godzinę i to przez 6 dni, dniem i nocą czynią. Czasami przyjmują nieco miodu, gdy go im kto porzuci, ale zaraz uchodzą. To jednak spotyka tylko pojedyncze mrówki; innych słabości u nich nie zauważano.

To bliższe obznajmnienie się z tém zmyślnem stworzeniem, niechaj posłuży dla wielu z was bracia moi! za wskazówkę, iż człowiek, jeżeli rozum swój odłogiem zostawi, a pracy swojéj święcie i z chęcią nie wypełnia, mało co wyżéj stoi nad najmniejsze stworzenia, naprzykład mrówki, które bez przymusu i żadnego dozoru, oddają się ciągłéj pracowitości, tak przy sztucznéj budowie swych mieszkań, jako też troskliwości około wyżywienia siebie i swego potomstwa.

Powitanie króla Sobieskiego przez cesarza Leopolda.

(Dokończenie.)

Uporczywie i mężnie bronili się Turcy, ale im to nie wiele pomogło. Z jednej strony nasi z walecznym królem na czele dojeżdżali im do żywego, a z tyłu znów Niemcy widząc, że nasi mężnie stawają, jęli się wyprawiać za mury, tłukąc co wlazło tylko pod rękę. Całe jedenaście godzin trwała ta uporczywa bitwa; ważyło się na obie strony, aż ci w końcu Turcy tył poddali; 40 tysięcy legło na miejscu, bardzo wiele potopiono w rzece Dunaju, który popod Wiedeń płynie, reszta rozleciała się na cztery wiatry, zostawiwszy dużo jeńców w rękach zwycięzców. I otóż tego samego dnia wieczór rozłożyło się polskie wojsko w tureckim obozie, a sam król nocował pod namiotem tureckiego wezyra. Nie potrzeba i wspominać, jaka była radość nazajutrz między Niemcami nieborakami, skoro ujrzeli, że już nie ma pogan pod murami miasta; przedniejsi ich jenerałowie i książęta zeszli się do królewskiego namiotu, i tam całując ręce naszego Sobieskiego sławili jego serce szlachetne i męztwo dzielnych Polaków. A była też i naszym radość nie mała, jużto z chwały że wroga zwyciężyli, jużto z bogactw, jakie w obozie tureckim znaleźli. Było tam złota i kosztowności co nie miara, a były też różne specyały do jedzenia i pachnidła, jako że z wielkiemi wygodami wyprawili się Turcy na wojnę.

Król Sobieski z radością przyjmował podziękowania i pokłony Niemców, ale sam jak zawsze zaszedł myślą do Boga bacząc, że Jemu się największa podzięka należy, więc że to był właśnie dzień niedzielny, siadł na koń i wraz z innymi panami pojechał do miasta na nabożeństwo. Witały go tu wielkie okrzyki ludu i wielkie tłumy towarzyszyły mu aż do kościoła św. Szczepana, kędy krzyżem leżąc mszy świętej wysłuchał.

Nie było jeszcze tylko samego cesarza niemieckiego, bo to pan pyszny, dopiero trzeciego dnia przyjechał, a i to się wprzód naradzał, czy ma naszego króla witać i dzię-

kować, czy nie. Zrzucił wreszcie pychę z serca i zjechał się konno z naszym Sobieskim na polu pod Wiedniem. Tu jakoże niby starszy nie chciał cesarz zdjąć pierwszy kapelusza przed królem; Sobieski też hardy za swoją grzeczność czapki zdejmować nie myślał, a widząc tak cesarza zafrasowanego, uśmiechnął się i podniósł rękę, by podkręcić sumiastego wąsa. Cesarzowi się zdało, że król chce czapkę zdejmować, i zerwał czemprędzej swój kapelusz z głowy, co też ujrzawszy Sobieski ukłonem ukłon odpłacił. Śmieszna to rzecz, kto przed kim ma czapkę zdejmować, a oto przecie widno już i w tem, jaka była niewdzięczność niemiecka ku Polakom, za tak rozliczne ich dobru poniesione trudy a nawet krew przelaną.

Wielkie miało znaczenie w świecie to świetne zwycięztwo Sobieskiego na Turkami. Kto wie, gdyby nie pomoc polska, toby dziś Niemcy a może i inne narody nie mogły żyć w świętej wierze chrześcijańskiej; możeby na ich kościołach zamiast krzyżów rogate księżyce były pozatykane; możeby ich córki i żony musiały dziś Turkom za podłe nałożnice służyć. Polacy przyczynili się najwięcej do odwrócenia tej wielkiej klęski od świata, ale zwykłym trybem nie doczekali się wdzięczności, lecz niewdzięczność musieli przyjąć w zamianę!

Pogadanki.

(Dokończenie)

We cztety lata później, margrabia Odon, pościągał zewsząd wojska i wyruszył przeciw Mieszkowi. I stoczywszy w dzień św Jana Chrzciciela bitwę z Mieszkiem, zwyciężyli go zrazu; ale potem natarł na naszych brat jego Cydebor i wszystkich walecznych rycerzy ze szczętem zgładził, w miejscu, które się zwie Cydini. W święta wielkanocne (r. 973) stanął Mieczysław, jak się zda, po raz pierwszy, w obec całego zgromadzonego dworu rzymskiego, który w Kwendlinburku bożą chwałą i światowemi uciechy paskę odprawiał.

Liczne poselstwa cesarzów greckich, których siostrę Teofanię przed rokiem z następcą tronu, Ottonem II. poślubiono, tudzież posłowie książąt bułgarskich, węgierskich, sławiańskich, duńskich, powiększały okazałość uroczystości. „Na wezwanie cesarskie przybyli tamże Mieszko i Bolesław (czeski) książęta ze wszystkiemi państwa całego dostojnikami. I po spokojnem odprawieniu świąt, wielkiemi poczczeni dary, radośnie do siebie powrócili.“

Po śmierci Dąbrówki i zerwaniu ztąd dawnych związków powinowactwa z Czechami poróżnił się był Mieszko z książęciem Bolesławem i zabrał mu jakieś włości. Przezco wielce sobie wzajem szkodzili (r. 968), zwłaszcza że Bolesław Lutyków, swych dawnych sprzymierzeńców w pomoc przywołał, a Mieszko od cesarzowej Teofanii posiłków zażądał. Cesarzowa, bawiąca natenczas w Magdeburgu, wysłała mu ku pomocy Gisylera, tamecznego arcybiskupa i hrabiów: Ekharda i Ezykona, Binizona tudzież jego imiennika, Brunona, Dedona i bardzo wiele innych, którzy z czterma zaledwie legionami wyruszywszy, w ukrainie Selpuli, nad wielkiem bagnem niespodzianie z Czechami się zetknęli. Bolesław chciał otwartego boju uniknąć, i przedłożył więc naczelnikom niemieckim, aby zamiast występowania przeciw niemu do walki, która Niemcom, z powodu ich słabych sił zdała się grozić niebezpieczeństwem, — udali się owszem wraz z nim do Mieczysława i pomogli mu nakłonić go do dobrowolnego zwrotu zaboru. Pochwalili to zdanie Niemcy, i natychmiast Gizyler arcybiskup z hrabiami Ekhardem i Binizonem w drogę z Bolesławem wyruszyli, a wszystka reszta do dom wróciła... Bolesław zaś przyszedł nad Odrę, i wyprawił posła do Mieczysława z oznajmieniem, że sprzymierzeńców jego ma w ręku. Jeżli Mieczysław zwróci zabrane ziemie, Bolesław wypuści ich bez szwanku; jeźli nie, tedy wszystkich ze świata zgładzi. Na to Mieszko mu odpowiedział: Jeźli król (Otto) zechce, to sam zwoich cało od Bole-

sława odzyszcze; albo też każe ich pomścić, gdyby Bolesław ich zgładził. A chociażby ich nawet król Otto III. nie pomścił, ja dla niczego tracić nie myślę. — Usłyszawszy Bolesław tę odpowiedź, żadnego z, naszy nie skrzywdził, tylko wszystkie przyległe miejsca splondrował i spalił. A w powrocie wziął jedno miasto, którego pan, bez sprzeciwiania się mieszczan, Lutykom na stracenie wydany został.

I umarł król Mieczysław powiada Marcin zamykając książkę, i minęło lat blizko tysiąc, a Niemcy nie posunęli nie posunęli się dalej, nasze kraje tylko tamte zabrane do reszty zniemczyli.

Dopiero kiedy polskę rozebrano, hurmem zwalili się w nasz kraj Niemcy i nuż wypędzać, wykupywać i grabić. I w dość niedługiem czasie tyle się ich namłożyło, że prawie wyrównują liczbę polaków, pierwotnym mieszkańców tej ziemi.

Ale i polacy nie długo zostawali w oderwaniu po owej strasznej klęsce rozbioru. Lun wiejski widząc, jak mu się ziemia z pod nóg usuwa uwierzył, że coś wiecie jedynie jego zbawienie, że ztąd tylko oczekiwać może zbawienie. To też w księstwie najwięcej ludzi umiejących czytać i pisać, najpiękniejsze chaty, najładniejszy dobytek — słowem najzamożniejsi gospodarze. I dają się zjeść Niemcom bo lepsi i poczciwsi i da Bug żz odzyskają nawet to co utracili.

Nie bardzo dobrze dzieje się i wnaszym kraju. Co dzień przechodzi jedna rola, jeden zagon w ręce żyda lub obcego przybysza a nasi idą na tułaczkę lub na zarobek.
więc i nam całem sercem wypada usunąć się z uśpienia nie żałować niczego na naukę, na oświatę, a z pewnością i zamożni i szczęśliwi będziemy, czego wam wszystkim życzę z całego serca, — zakończył Marcin a Gospodarze rozeszli się do domów i głęboko pojęli naukę i wzięli się do pracy poczeła i uczyć i teraz Podwale jest najpiękniejszą i najzamożniejszą wioską na całem Podwiślu.

Posłowie Polscy w klasztorze Kluniackim.

Narzekała Polska na Ryksę królowę — i sprawiedliwie! bo w niej uznawała nie matkę ale srogą macochę, krzywdzicielkę swoją, co się gdzie jeno mogła, zdziwiała nad biednym narodem i źle mu czyniła. Ale o Kazimierzu zawsze dobrze mówiono, bo chociaż to był chłopiec jeszcze nie letni, a już bywało nieraz, iż za pokrzywdzonym się ujmie i nie jednego ubezpieczy przed matką, aby mu się nic złego nie stało.

Narzekała Polska na Ryksę królową — i znowu sprawiedliwie! bo kiedy przyszła bieda na Polskę — za co kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać będzie właśnie ona królowa — to żeby choć była pożałowała jak się godziło, a ona nic, jeno patrzyła, gdzieby tu się jeszcze co urwać dało i spakowawszy co żywo swoje i nie swoje, pognała za dziesiątą górę, i ani się nawet nie obejrzała za tą biedną Polską. Ale za Kazimierzem wszyscy żałowali, bo wiedzieli dobrze jak przykro mu było z kraju uchodzić, i jak często oglądał się poza siebie, niby to dziecko za matką tęskniące.

Toć kiedy już przybyli na miejsce, do onego kraju gdzie się rodziła królowa Ryksa i jej cała rodzina, i już tam w jednym zamku zamieszkali na stałe — to matula gdyby nigdy nic, hula sobie po dawnemu, a zaś Kazimierz jak ta wierzba, co się pochyla ku wodzie, taki zawsze smutny był i zadumany.

Zrazu jeszcze nie bardzo na to zważała matka, bo myślała sobie: Ot jakoś to przejdzie. Dalej kiedyć nie ustawało, radziła się przeróżnych doktorów, by mu co na ten smutek pomogli. Ale i to na nic się nie zdało. Więc połowę złota ze skarbca swego ofiarowała na mszy święte, ta żeby się pan Bóg ulitował nad jej dzieckiem i wesołem go uczynił Ale znać taka była boska wola, aby syn pozostał w smutku, a matka dzieckiem niepocieszona była za grzechy swoje. Już bo nareszcie sama nie wie co począć?... gdyby choć raz weselszą twarz jej pokazał, choć jeden raz! a tu nie, i nie,

już prawie zapomniała, jak się dziecko uśmiecha. Toć strasznо dla matki, choćby i dla takiej Ryksy!...

Tak-ci się tam działo przez niejaki czas. Aż tu razu jednego, szukają Kazimierza — nie ma go. Gdzie dla Boga! Królowa w lament — przerzucili cały zamek do góry nogami, przepatrzyli najmniejszy kącik w zamku i do koła zamku, zbiegli całą okolicę, wypytali wszystkich ludzi od najmłodszego do najstarszego, czy go kto nie widział... nadaremnie! gdzieś przepadł jak kamień w wodę Dopiero w kilka dni potem królowa włócząc się, jak mara nocna, po całym zamku — bo sobie z wielkiej żałości nigdzie spokoju znaleść nie mogła — przyszła też przypadkiem do małej izdebki, gdzie jej syn najczęściej przebywać lubiał. W pośrodku ustawiony był stolik nie duży.. patrzy jakiś tam papier leży niby liścik, którego w pierwszym pospiechu nie zauważano. Więc bierze go do rąk... aż tu pokazuje się, że to pismo do niej od syna. I stało tam tak napisane: „Kto przyprowadził Polskę, moją ojczyznę na taką biedę?... moja matka! — Przez kogo mój biedny ojciec Mieczysław tak srogą niewolę znosi u Czechów?... przez moją matkę!... Tak powiadają ludzie — i za to ja taki smutny był, i już mi za życia nie zaznać wesołości. Idę do klasztoru na pokutę za matkę, aby jej Bóg tego wszystkiege niepopamiętał. Boże! bądź miłościw.

Tymczasem w Polsce po śmierci Mieczysława II — niedobrze się działo. Bardzo wielu już zgoła straciło nadzieję, żeby miało być lepiej. — Ale znalazła się garstka walecznych i prawych mężów, którzy gwałtem przemyśliwali nad tem, jakby to ojczyznę ratować. Więc rada w radę między sobą — i uradzili, ażeby koniecznie wyszukać Kazimierza, któremu wszyscy z duszy serca byli radzi, i wywołać go królem.

Tedy jednego dnia na zamku królowej Ryksy pojawili się panowie z Polski. Zapytano ich: za czem przychodzą? — Odpowiedzieli, że po Kazimierza, bo go sobie Polacy za króla obrali. A królowa rzekła: Szkoda czasu i waszego trudu — mój syn królem polskim nie będzie! — Dla czego?

pytają posłowie. Królowa po dobrej chwili zdobyła się na odpowiedź: — Jużci przepadło wszystko, panowie posłowie! Kazimierz, mój syn, panu Bogu ślubował i został mnichem. Skoróć to posłyszeli, ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce. Jeden tylko stary wojewoda między nimi nie stracił głowy. I zapytał królowę: w którym klasztorze jej syn Bogu ślubował? — Otóż to właśnie, odpowiedziała królowa, że sama nie wiem doskonale; ale podobno ma się on znajdować w *Kluniackim* klasztorze u OO. Benedyktynów.

Więc posłowie czemprędzej wybrali się w drogę do onego klasztoru. Gościnnie otworzono im bramę klasztorną — ale kiedy zapytali: ażali nie tu przebywa Kazimierz królewicz? — przełożony klasztoru jeno pokiwał głową i nic im na to nie odpowiedział.

Co go się nie naprosili posłowie! nie i nie. — Jeden tylko stary wojewoda i tą razą głowy nie stracił, ale przemyśliwać począł, jakby tu prawdy dociec. Nareszcie nic nikomu nie mówi, jeno poprosił przełożonego, żeby im przez noc pozwolił zabawić w klasztorze. Trudnoć było obcym odmówić gościny. — Ledwo co słonko zapadło, w klasztorze dzwonią na wieczerzę. Zebrali się wszyscy zakonnicy pospołu w jednej wielkiej izbie. Byli tam i nasi posłowie. Kiedy drudzy zajęci byli jedzeniem, sędziwy wojewoda mało co tknie z jadła, a jeno ciągle poziera po mnichach, i każdego z osobna pilnem uważa okiem. W końcu spochmurniał i jakoś się zadumał. Dopiero się ocknął, gdy już wszyscy powstawali od stołu. Po modlitwie prosił, ażeby mu dozwolili przed całem zgromadzeniem opowiedzieć króciuchną historję o tem, co się w tych czasach podziało w Polsce. Przełożony nic nie miał przeciwko temu. Wojewoda powiadał, jak srodze się był król odmienił w owej czeskiej niewoli, że go już prawie nikt odpoznać nie mógł — jak podupadł na duchu i na ciele, jak na tem cały kraj cierpiał, a wrogi sie z tego cieszyli, aż król nieborak z umartwienia, żeć już złemu zaradzić nie może, obłąkał się i niebawem też umarł. I opowiadał, co się tam nie nadokazywali Czechy i inne nieprzyjaźne Polsce narody! że dzisiaj ich łaski cały kraj wygląda

jak jaka pustynia; popalone wsie i miasta, nie znajdziesz tam dachu całego, wszystko zwalone i poniszczone, a lud częścią zabrany w srogą niewolę, albo błąka się jak ta biedna sierota po pustych polach i lasach.

Na izbie cicho było jak makiem zasiał. W tem nagle



coś tam zajęczało, niby płacz rzewny z czyjejś piersi gwałtem się dobywał. Wojewoda zaraz urwał mowę i żywem okiem przemknął po całem zgromadzeuiu. Tam stał jeden z odwróconą teraz twarzą ku oknu, był on mocno wzruszony i zaniósł się tak wielkim płaczem, że aże nim całym zatrzę-

sło. Dopieroż wojewoda rzucił mu się plackiem do nóg wołając: — Kazimierzu królewiczu nasz! otom cię odpoznał po tym płaczu!

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, aż się wszyscy pozapominali z podziwu. A prawił ci on dalej:

— Wybacz miłościwy panie! użyłem podstępu, by między obcymi rozpoznać królewicza naszego, którego zaledwie drobnem zapamiętaliśmy chłopięciem. Toć cała Polska upomina się o Kazimierza swego, ta żeby ją z ciężkiej podźwignął niedoli.

Mnich jak gdyby mu mowę odjęło, tak ani słowa — jeno sobie teraz ręce odjął z twarzy, a twarz była blada gdyby chusta, a oczy aże czerwone od płaczu!

— Kazimierzu miłościwy panie nasz! błagał znowu wojewoda — matka twoja zgubiła naszą Polskę, a ty ją poratuj.

— Poratuj! jednym głosem powtórzyli posłowie, wznosząc ręce ku niemu, gdyby w modlitwie.

W tej chwili zbliżył się przełożony klasztoru i rzekł: Alboż to na nim nie widzicie zakonnej sukni? Kto się raz w nią przyoblecze, jużci dla niego marnością są wszystkie szaty królewskie i honory tego świata. Powstańcie na nogi i idźcie z Bogiem. Posłowie powstali ze ziemi i smutnem okiem pozierali za oddalającym się królewiczem Ode drzwi raz jeszcze Kazimierz obrócił się ku nim — było to żałośne pożegnanie.

Cóż teraz począć? duma każdy — trudna tu rada! chyba nasz wojewoda co wymyśli, bo u niego głowa nielada.

Aż po dobrej chwili odezwie się starzec: — Ha, w imię Boże! chodźmy panowie bracia.

— A gdzie? zapytali tamci ciekawie.

— Do Rzymu! powiada, pójdziemy do Rzymu i do Ojca świętego, On jeden mocen jest rozwiązać te śluby i wydać nam Kazimierza na króla.

Skoro przybyli do pysznego pałacu, kędy mieszkał Papież uczuli niejaką trwogę w sercu: — Anuż, myślą sobie, i tutaj nam się niepowiedzie?... a to już nasza ostatnia ucieczka!

ha, niech się dzieje wola Boże!! — Wprowadzono ich do jednej wielkiej izdy na posłuahanie. Niebawem obaczyli Ojca świętego — twarz Jego łagodna dodała im ducha... więc naprzód w pokorze pochylili czoła przed głową kościoła, a potem śmiało wystąpili z prożbą swoją. Dziwnie łaskawie wysłuchał ich Papież, i ulitował się nad Polską, która w Kazimierzu widziała jedyne swoje zbawienie. Jako więc mocen był rozwiązać śluby kościelne i uwolnić królewicza z klasztoru, i tak uczynił właście a to na prośbę posłów, którzy w imienia całego narodu prosili. I taką wolę swoją kazał na tych miast wypisać na papierze i doręczyć naszym posłom z błogosławieństwem na drogę? za co znowu oni ofiarowali na kościoły bogate dary w złocie i w srebrze. Potew na chwilę już nie zatrzymywali się w miejscu, jeno co tchu pospieszali z powrotem do Francyi i do kluniackiego klasztoru.

Tymczasem w klasztorze ani się komu śniło, żeby po takiej odprawie, posłów jeszcze kiedyś zobaczyli u siebie. Jakież było ich zdumieeie, gdy razu jednego widzą znowu onych gości z dalekiego kraju. Zkąd znowu? pytają mnichy Dopiero zrozumieli rzecz całą, skoru posłowie wręczyli rozkaz Ojca świętego dopominając się teraz na prawdę o królewicza Kazimierza, aby go puszczono na wolność. Przeciwko takiemu rozkazowi nikt nie śmiał ani pisnąć Tedy przywołano Kazimierza i opowiedziano mu, ze jest wolnym od ślubów kościelnych i że teraz może już robić co mu się żywnie podoba.

Zmierzajóc ku Polsce, chaiał jeszcze Każimierz królowę matkę odwiedzić na jej zamku, i obrał sobie drogę tamtędy. Matka płakała kiedy syna zobaczyła, i długo spożierała na drogę, kędy się puścił Kazimierz dalej ku polskiej granicy.

Tymczasem już w Polsce rozeszła się była pogłoska, że król przebywa do kraju i że już jest nie daleko. Wiadomość ta sprawiła wielką radość w narodzie. ze wszystkieh stron gromadziły się tłumy wdzięcznego ludu na granicy. Skoro się tam pojawił Kazimieız, powitano go serdecznie nie jako króla, ale raczej miłego ojca.

Zawiślak.

(Dokończenie.)

Nie pomogły przedstawienia Marysi, nie pomogły nawet prośby ojca. Ranny choć z bolem serca opuścił gościnne progi Zawiślaka i wyjechał do Krakowa. Tam wyleczył się do reszty z ran, ale już do powstania nie wyjechał a natomiast dostał się do więzienia, bo jak to więcie, w roku 1864 i 1865 był stan oblężenia, i wszystkich, co brali udział w powstaniu, pozamykano.

Smutna była Marysia — co dzień mizerniała, że aż żal było i ojcu i matce, że tak nieszczęśliwą. Szymek przyszedł w zaloty i otrzymał od ojców przyrzeczenie, ale Marysia ani słyszeć o nim nie chciała. Dowiadywał się pilnie wójt o dalsze losy swego gościa i nareszcie się dowiedział, że siedzi na zamku w Krakowie. — Cóż robić, myśli sobie, trzeba pocieszyć Marysię. Wchodzi więc do chaty i powiada.

— Marysiu, Marysiu — oj nie pamiętasz ty o mnie, kiedy się tak o tego rannego smucisz i dręczysz. Nie mówiłem ci, że to panicz i nie ożeni się z tobą. Nieszczęście, nieszczęście spadło na moją głowę. On żyje — dodał nareszcie — otrzymałem list od niego — patrz i czytaj.

Marysia ucałowała serdecznie ojca — i szybko wyrwała list i poczęła czytać.

— Opisywał ranny o dalszych swoich losach, jak w Krakowie zdradzony od szpiegów musi teraz szlachetność swoją i poświęcenie więzieniem odpłacać; powiadał, że mu tęskno za Podwalem, że musi się jeszcze choćby raz ze swojem dobroczyńcą zobaczyć i pożegnać — może na zawsze. Pozdrawiał Marysię i powiedział pierwszy raz Zawiślakowi — bo do niego list był pisany, — że ją kocha nad życie i dlatego właśnie ich dom tak niespodzianie opuścił.

Nie mógł się wójt patrzyć, jak codziennie jego jedynaczka mizernieje; serce mu się krajało i nie wiedział co począć. Wtem otrzymał nowy list z Krakowa, że za tydzień z więzienia będzie wypuszczony i musi wyjechać za granicę, że mógłby w Galicyi pozostać, gdyby kto poświadczył, że jest tutejszym.

Zaprzęgnął koniki Zawiślak i z Marynią wyjechał do Krakowa. Długoby było opowiadać, co i jak rozmawiali i o czem radzili z Józefem — dość, że w rok niespełna dawny gość był nauczycielem na Podwalu — a niedługo potem Zawiślak sprawiał sute wesele swojej jedynaczce i nowemu nauczycielowi.

Odtąd, wszystko jakby cudem zmieniło się na Podwalu. Chłopi z ochotą posyłają dzieci do szkoły, założyli u siebie i kasę pożyczkową, aby [się wspierać wzajemnie i czytelnię i szkołę wybudowali, gdyby dwór jaki. Co niedziela schodzą się u nowego nauczyciela, słuchają jego opowiadań lub czytania, idą za jego radą jakby za radą, ojca swego i szanują go jak księdza, bo na to zasługuje najzupełniej.

Jeden tylko Podrywka stracił znaczenie i powagę w gromadzie. To też począł się coraz więcej rozpijać, coraz częściej przesiadywać w karczmie, tak że w końcu prawie już ztamtąd nie wychodził. Gospodarstwo jego stopniało prędko jak śnieg, wdał się w przyjaźń z tymi, co to bez pracy i trudu chcieliby używać tego świata, więc w cudzą zaglądają kieszeń lub komorę.

Nie długo potem żandarmi odprowadzili go w kajdanach do miasta i odtąd go więcej nie widać. Powiadają, że należał do bandy rabusiów, co to niedawno w kraju naszym tyle popełniła zbrodni.

Najlepiej na tem oddaleniu podwojciego z wioski wyszedł Szymek. Był on z gruntu serca dobrym, tylko słabym chwiejnym i nie bardzo roztropny. Toć kiedy wyszedł z pod opieki Podrywki, zmienił się do niepoznania. On to najczęściej bywa u nauczyciela, najpilniej się wypytuje o rzeczy pożyteczne, gospodaruje już od roku z żoną skrzętnie i pilnie, dziękując Bogu, że go wybawił od złego towarzystwa, a może i zbrodni, bo go Podnywka mógł do wszystkiego namówić.

O kometach.

Wielu z was pamięta, bracia moi, jak przed kilku laty świeciła wieczorami ognista kometa, to jest gwia-

zda z wielką miotłą czyli ogonem. Wielu wtedy myślało, że straszna ta kometa ma się zderzyć z ziemią i sprawić koniec świata. Zawsze to tak ludzie przewrotni albo ciemni i zabobonni opowiadają, nie zaszkodzi więc przeczytać tę pogadankę, bo to szczera prawda.

Powiadał raz chłopek:

— Bieda podobno, proszę pana, wszystkich nas czeka! Gazety piszą o jakiejś strasznej komecie, a ludziska gadają coś niedobrze...., podobnoć to doczekamy się w tym roku skończenia świata!

Pan Jan, rośmiał się z tej mowy, i tak zaczął:

— Oj! stary, stary! myślałem że macie więcej rozsądku od tych, którzy to niedorzeczne zmyślnie rozszerzają? Wierzycie takim rzeczom, które tylko zupełnie ciemni i zabobonni ludzie powtarzają, a z których, doprawdy! naśmiaćby się trzeba.

— Mój panie! rzekł stary Tomasz, już to panowie z nas się śmiać gotowi, ale powiem bez urazy, że nadto daleko rozumem sięgać chcecie. Ja, przyznam się panu, nie wierzę lada jakim słowom, ale kiedy już wszyscy prawie o czemś z pewnością mówią, toć trudno znowu być niedowiarkiem. I powiem prawdę, że nieraz się już śmierci zajrzało w oczy, ale teraz, to strach mnie przejmuje na myśl, aby ludzie czegoś nie wygadali.

Pan Jan nie uraził się bynajmniej ostrą przymówką starego i gadatliwego wiarusa, który mówił, jak czuł, ale owszem spoglądając nań łagodnie, tak się do niego odezwał:

— No! mój Tomaszu! nie sądźcie tak żywo o nas uczonych, i my mamy serca, i my wierzymy w to, co jest niezawodnem, ale łatwiej też odróżnić możemy prawdę od fałszu. Żeby was więc wywieść z błędu i śmiesznego przestrachu o tém skończeniu świata, muszę z wami, Tomaszu! pomówić, żebyście wy znowu ciemniejszych od siebie na dobrą sprowadzili drogę. Usiądźcie więc i posłuchajcie:

Zapewne zgodzicie się ze mną na to, że nic tak ludzi nie trwoży, a przynajmniej nie zadziwia, jak to, co się bardzo rzadko przytrafia. Gdybyśmy naprzykład to słońce

nasze nie codziennie, ale co kilka lub kilkanaście lat widywali, to niezawodnie wieluby z nas na nie z takim przestrachem spoglądało, jak te ogniste komety, które tak rzadko i w tak dziwnym kształcie nad nami się pojawiają. Aby was więcej z niemi zapoznać, muszę was wprzód jeszcze w krótkości objaśnić o słońcu, gwiazdach i o ziemi naszej.

Uczeni ludzie oddawna już przekonali się, że w tej niezmierzonej przestrzeni świata, którą niebem nazywamy, słońce, które jest przeszło milion razy większe od ziemi, obraca się od wieków w miejscu, a naokoło niego ziemia w raz z księżycem i z wielu gwiazdami ustawicznie po różnych kołach krążą, o czem już nieraz w „Dzwonku" czytaliście.

Pan Bóg, ów najmędrszy budowniczy świata całego, rozkazał tym wszystkim ciałom niebieskim, ziemi, księżycowi i wielu innym podobnym planetom krążyć tak, aby jedno drugiemu na zawadzie nie stało. Podobne drogi około słońca, z których zboczyć niewolno, mają i komety, które od tysięcy lat pojawiają się śród nieba, i zawsze w porządku im przepisanym opuszczają nas, idąc w dalszą przestrzeń, która jest niezmierzona.

— Tak, proszę pana, odezwał się z namysłem stary Tomasz, dobrzeby to temu było wierzyć...., ale bez urazy, spytałbym pana, któż to tam o tém wszystkiem z pewnością wiedzieć może?

— Ludzie wiele już rzeczy śród nieba odkryli, i wiedzą mniej więcej, jak się co dzieje, a możecie się przekonać z tego już tylko, gdy wspomniecie, jak na całym świecie ludzie uczeni przed kilku laty naprzód przepowiedzieli, co do minuty nawet, owo pamiętne nam całkowite zaćmienie słońca. Komety, których jest tysiące, są o miliony mil od nas odległe i dlatego, choć bardzo wielkie w rzeczywistości, nam wydają się małemi; co rocznie też po kilka krąży nad nami i zachodzi dalej w przestrzeń świata, a z nich my tylko bliższe niekiedy gołem okiem dojrzeć możemy. Lecz uczeni, co się trudnią nauką o gwiazdach, czyli

astromowie, widzą po kilka komet co rok przez bardzo powiększające szkła.

— Przepraszam, odezwał się Tomasz, że przerywam, ale zkądże to ludziom przyszło do głowy, że miała być kometa, co się o ziemię uderzy, i czyto mogą także ludzie naprzód o tém wiedzieć?

— To też posłuchajcie, do tego właśnie zmierzam. Nikt jeszcze nie doszedł, wiele milionów mil zawierają kołowate drogi komet, bo my tylko małą cząsteczkę ich dróg nad sobą widzimy, gdy przechodzą blisko słońca; ale doszli już uczeni przez ciągłe zapisywanie tego, co widzieli, że jedne komety pojawiają się co lat kilka, inne co kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat. A mogli dojść tego, jeżeli powiększającemi szkłami przekonali się naprzykład, że kometa jakaś, która już raz kiedyś była widzianą, pojawiła się znowu w tym samym kształcie, naprzykład co lat 6, i tak samo zawsze wyglądała. Otóż więc przepowiedzieli że w 1857 roku pokaże się bardzo świetna kometa, widziana już nieraz dawniejszemi czasy.

Jak wam już powiedziałem, Pan Bóg wszystkiemu na świecie najmędrzej przeznaczył od tysięcy lat jeden i ten sam porządek; boć widzimy, jak regularnie dzień po nocy i nawzajem, jak znowu wiosna po zimie, lato po wiośnie następują. Tak samo też i kometom z wytkniętych im dróg przez Przedwiecznego zejść nie wolno, lub stać innym tworom niebieskim na zawadzie; a tém samem i ta kometa która miałaby się pokażać, a która już od wieków pojawiając się, o miliony mil była od ziemi odległą, nie może się tak zbliżyć do ziemi, aby w niej zniszczenie, o jakiem ludzie gadają, sprawić mogła.

— Mój panie kochany! rzekł Tomasz, nie umiem nawet podziękować panu za tę łaskawość w tak jasném objaśnieniu mnie o tém wszystkiem, na co my prości ludzie dziwnemi spoglądamy oczyma; a choć przyznaję już teraz że inaczej być nie może, ale jeszcze jedno zapytanie ośmielę się zadać panu. Oto, dla czegóż-to komety poprzedzają zawsze wielkie niąszczęścia na świecie, bo zdawien-dawna

mówią, że one są znakiem i przepowiednią kary Bożej, i dla tcgo też jak rózgi ogniste nam się pokazują ż

— Posłuchajcież Tomaszu, mówił pan Jan, komety, podobnie jak nasza ziemia, księżyc i wiele innych ciał niebieskich, zwanych planetami, nie] mają własnego światła, ale tylko wydają się nam jasnemi, że je światło słońca oświeca; podobnie jak przedmioty różne na ziemi, świetnemi się nam wydadzą, gdy do nich światło słoneczne dochodzi. Komety niektóre (bo i to wam trzeba wiedzieć, żc nie wszystkie) odróżniają się jeszcze tém, że mają tak zwane ogony, czyli miotły w jedną stronę zwrócone. Te miotły zdają się być w massie swojej podobnemi do chmurnego powietrza otającego ziemię, z tą jednak różnicą, że nasze powietrze jest nierównie gęstsze, jak owa mgła otaczająca komety. Że mgła, co jak miotła się ciągnie, jest niegęstą ztąd wnosić można, że jeżeli za ową miotłą komety znajduje się jaka gwiazda na niebie, to tę gwiazdę doskonale przez tę mgłę widzimy.

Że komety większe rzadko są widzialne, że są szczególniejszego kształtu i zawsze się różnią od innych ciał niebieskich, to jest, od słońca, gwiazd i księżyca, na które co noc patrzymy; ztąd poszło, iż ludzie patrzeli na nie z podziwieniem jako na szczególne zjawiska. Gdy znowu trafiło się często, że razem z okazaniem się takiej komety, mogło i na ziemi zajść jakie większe zdarzenie np, wojna, susza, mór i różne choroby, ztąd to lud nieoświecony nie umiejąc naznaczyć tym zdarzeniom innej przyczyny, przypisywał je zjawionej komecie.

— Ale nim skończę opowiadanie, rzekł dalej pan Jan, zwrócę się jeszcze do waszego zapytania i do owej przepowiedni o końcu świata, bo mnie to z jednej strony bawi, a z drugiej znów strony zasmuca, zważając, że z tego kłamstwa mogłyby wyniknąć nieraz nie dla jednego złe skutki. Otóż przytoczę wam, ze zawsze, a mianowicie dawniej, gdy więcej ludzi zabobonnych było, pojawienie się ognistej komety z ogonem, strachem przejmowało lud ciemny, a to tem więcej, im dłużej błyszcząca kometa nad ziemią przecho-

dziła. Przed 400 naprzykład laty trwoga taka na świecie z tego względu powstała, że lud opuściwszy ręce, oczekiwał przez kilka miesięcy w odrętwieniu końca świata, i z bojaźnią spozierał w górę, rychło li kemeta nadzwyczajnem swem światłem, bo przy nim w nocy czytać można było, spadnie na ziemię i spali ją do szczętu. Ale cóż za skutki z tego się okazały? Oto kometa poszła sobie dalej, a lud spędziwszy czas drogi na próżnowaniu, opuściwszy warstaty i zaniedbawszy rolę, marł z głodu, który sprowadził gorszą jeszcze klęskę, bo mór powszechny.

— Ale pewnie ja wam zadługo już prawię, mój Tomaszu, rzekł pan Jan, a wy może tylko jednym uchem mnie słuchacie?

— A! uchowaj mnie Boże, odpowiedział z zajęciem Tomasz; przyznam się, że trzebaby chyba niemieć piątej klepki w głowie, żeby jej nie zrozumieć. A tożto lat sześćdziesiąt kilka kończę, a jeszczem nie słyszał takiego jasnego opowiadania o tych wielkich stworzeniach niebieskich, na które my ciemni więcej nic, tylko patrzeć umiemy. Bo to zwyczajnie, my prości, jak wiemy, tak gadamy, ale teraz to i ja się z tych naśmieję, co nas straszą owym ogonem komety, i choć w części rozpowiem im to, com od pana usłyszał.

— Tak, mój Tomaszu, kończył pan Jan, Pan Bóg nie dla strachu naszego stworzył komety. Ma ten Pan Wszechmocny prostsze środki do ukarania nas za złe życie, czego zawsze doświadczamy, jak źle żyjemy. A jak wszystko na świecie zacząwszy od najdrobniejszej trawki ma swój cel i przeznaczenie, tak też i komety nie dla tego krążą w przestrzeni niebieskiej, aby nas straszyły, a tem więcej zaczepiały ziemię naszą.

Złote ziarna.

Ten ciężar, który niesie twój ojciec, a którego możesz mu ulżyć, a nie chcesz, będzie ciężarem twoim na całe życie.

Kto umie znieść cierpięnie, ten jego ciężar o połowę zmniejsza.

Wstydliwość jest najbogatszym strojem kobiety.

Mądry jest stały, a nie uparty.

Dobry uczynek nigdy nie zginie.

Kto uczciwie żyje, ten długo żyje.

Słówko raz wyrzeczone, nigdy nie przywrócone.

Niewieścia ozdoba: cnoty i dobre obyczaje.

Posag bardzo piękny pannie, jest cnotliwe wychowanie.

Poprawić się nie sromota.

Zły poradnik gorszy niż krzywdziciel.

Łaskawością rychlej ujmiesz człowieka niż surowością.

Rozmaitości.

Diogenes przyszedłszy do małego miasteczka, w którym bardzo wielkie były bramy, zawołał: obywatele zamknijcie bramy aby miasto wasze nie uciekło.

Ubogi prosił marnotrawcę o złoty pieniądz. Gdy się tenże spytał, dla czegoby innych o szeląg, jego zaś o daleką większą summę prosił. — Dla tego, odpowiedział, ponieważ od tamtych spodziewam się później jeszcze co dostać, ale od ciebie już podobno więcéj nie dostanę.

Mędrzec pewien dał skępemu, który wiele obiecywał, a mało dawał, taką naukę: iż lepiejby uczynił, gdyby zamiast worka usta swe miał zamknięte.

Mędrzec spytany: któreby zwierzę najszkodliwiej kąsało, odpowiedział: z dzikich zwierząt, oszczerca; z domowch, pochlebcaa.

Za dawnych czasów, kiedy budowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż wszczął się w mieście onem pożar. Powstali niektórzy ludzie i spojrzeli w okno, a widząc ogień daleko, poszli znowu spać i usnęli. A drudzy, widząc ogień bliżej, stali we drzwiach i mówili: będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie. Ale ogień wzmógł się bardzo i pożar domy tych, którzy we drzwiach stali, a tych którzy spali pożarł z domami ich. A byli zaś niektórzy ludzie poczciwi; ci widząc ogień, wybiegli z domów do ratunratunku; ale że ich mało było, uratować nie mogli. A gdy miasto zgorzało, owi poczciwi ludzie odbudowali je i pomagał im lud całej okolicy, i stanęło miasto większe i piękniejsze, niż pierwsze. Ale tych, co niebyli u pożaru, a tylko we drzwiach domów stali,

z miasta wypędzono i pomarli głodem W mieście zaś ustanowiono takie prawo: iż w czasie pożaru wszyscy z wodą, z drabinami i z hakami do ognia biedz muszą.

Zenon rzekł do młodzienca gadatliwego: dla tego mamy dwoje uszu, a jedne usta, abyśmy więcej słuchali,a mniej mówili.

Pytającemu się, o której godzinie obiadować należy, rzekł mędrzec: jeśliś bogaty, jedz, kiedy ci się chce; jeśliś ubogi, kiedy masz.

Od redakcyi.

Wszystkie reklamacye, które redakcyę doszły zostały załatwione. Komu z szanownych czytelników brakuje numerów, zechce się zgłosić najdalej do końca miesiąca lipca.

Pieniądze prenumeracyjne najlepiej przesyłać za przekazem pocztowym, chociaż z numerem pierwszym tomu VI. rozeszlemy i listy zwrotne.

Redaktor i wydaw. odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni Karola Budweisera.